

Czy prawda powinna pozostać w ziemi?

17 listopada 2021

Z doktorem nauk humanistycznych Jerzym Kowalewskim, na temat Ukrainy, rozmawia Rajmund Pollak.

– Jest Pan doktorem nauk. Proszę o informację z jakiej dziedziny Pan bronił doktorat, na jakiej uczelni i jaki był temat Pana pracy doktorskiej?

– Pracę doktorską obroniłem w 2005 roku na Uniwersytecie Jagiellońskim, tematem pracy była poezja Janusza Szubera i Małgorzaty Baranowskiej. W efekcie uzyskałem tytuł doktora nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa.

– Kiedy i z jakich formalnych powodów został Pan zwolniony z UJ?

– Od końca studiów w 1996 roku razem z żoną zajmowaliśmy się nauczaniem języka polskiego jako obcego (JPJO): m.in. w szkole letniej UJ. Wyjechaliśmy do pracy w środowiskach polskich w Grodnie, następnie w Użgorodzie i już sam w Sąsiadowicach i Kijowie. Pracowałem też w Polsce w szkołach średnich. Po doktoracie zostałem przyjęty w Centrum Języka i Kultury Polskiej w Świecie UJ. Perspektywy były długoletnie, wykonywałem swoje obowiązki sumiennie, prowadziłem popularne wśród studentów obcokrajowców Spotkania z kulturą polską, uczyłem przyszłych nauczycieli JPJO. Wtedy doprecyzowałem koncepcję metodyki kulturowej – nauczania języka poprzez kulturę, powstały materiały do przyszłej książki *Kultura polska jako obca?* Jeździłem na konferencje, publikowałem. Jednym z artykułów był ten, przez który oficjalnie nie przedłużono ze mną umowy o pracę po trzech latach. W artykule tym upominałem się o pozytywny obraz polskiej kultury w podręcznikach do JPJO.

**– Jaki był Pana zdaniem prawdziwy powód Pana zwolnienia ze
znamienitej uczelni?**

– Trudno odpowiedzieć, nie mając dowodów. Pozostają domysły, których tu – rzecz jasna – nie przedstawię. Problem jest dużo szerszy niż mój przypadek. Polskie uczelnie publiczne pełne są jednostek, swoistych udzielnych księstw, które zdominowane są przez wszechwładnych profesorów. Wszelkie próby niezależności kończą się rozstaniem. Ale z drugiej strony jest to tradycja polskiej szkoły, układ mistrz – uczeń. Jeżeli „nie zaiskrzy” między mistrzem a uczniem, do współpracy nie dojdzie. Mistrzowie, którzy mają „dojścia”, zatrudniają swoich doktorantów lub osoby „z polecenia” (przez m.in. fikcyjne konkursy ogłaszane „pod kogoś”), ci – często mierni, ale wierni – trwają przy swoich mentorach, dopisują np. ich nazwiska do publikacji, prowadzą za nich badania, wkomponowują się swoimi publikacjami (oddawanymi wcześniej do „recenzji”) w ogólną „wizję” danego profesora, służą im wiernie, w zamian zdobywając kolejne stopnie naukowe. Stąd tak mało prac przełomowych, nowych punktów widzenia, nowych koncepcji. Trwa przepisywanie autorów, koniecznie zagranicznych, najlepiej z Zachodu, i cytowanie siebie nawzajem lub kilku kolegów z ośrodków zaprzyjaźnionych – tych, na których wskaże lub pozwoli profesor. W polskiej humanistyce nie ma miejsca na oryginalne koncepcje, niezależne myślenie, odważne publikacje oderwane od ustalonych z góry autorytetów. Po latach nikt już nie pamięta, skąd się ten wierny nowy profesor wziął i pełny autorytetu wśród studentów sam zatrudnia „swoich”. Nie wiem, jak ten problem rozwiązać. Trudno zmuszać kogokolwiek do współpracy, ale w ten sposób wielu niezależnych doktorów nie ma szans na podjęcie działalności naukowej, a samodzielna działalność – w humanistyce możliwa – nie jest zauważana lub jest celowo pomijana – co mnie osobiście dotyka od 13 już lat. Być może rozwiązaniem mogłoby być coś w rodzaju niezależnej afiliacji, naukowiec byłby związany z uczelnią formalnie (uczelnie nie mogłaby odmówić takiej afiliacji), ale nie miałby tam etatu. Bez afiliacji nie ma możliwości startowania

w konkursach, trudno jest zdobyć kolejny stopień naukowy. O patologiach na uczelniach publicznych można by długo, np. o prywatnych profesorskich urodzinach organizowanych dla „znajomych i przyjaciół” pod płaszczykiem konferencji naukowych. Uczelnie są autonomiczne, brak jest możliwości odwołania, zaskarżenia – w moim przypadku kierownikiem katedry, dyrektorem Centrum (do którego katedra należała) i rektorem ds. kadrowych była ta sama osoba. Nigdy nie przeprowadzono lustracji z konsekwentnym wyeliminowaniem działaczy komunistycznych i ich agentów. Dopiero od niedawna bada się efektywność kadry naukowej, oceniają ją studenci – czy słyszano jednak, by ktoś w wyniku tych badań stracił pracę? W efekcie wróciłem na Ukrainę na następne 12 lat.

– Ile lat spędził Pan na Ukrainie i co Pan tam konkretnie robił?

– Przyjąłem propozycję współpracy w Centrum Metodycznym w Drohobyczu, w którym spędziłem dwa lata, następnie poprosiłem o skierowanie do pracy na polonistycie Uniwersytetu we Lwowie i pracowałem tam jako tzw. lektor z Polski przez lat pięć – wcześniej byłem już nim na Uniwersytecie w Kijowie, było to w roku akademickim 2004-2005 – miałem więc możliwość obserwowania z bliska pomarańczowej rewolucji. Od 2014 roku rozpocząłem też współpracę z fundacją Wolność i Demokracja (WiD), byłem jednym z konsultantów programu Białe-czerwone ABC skierowanego do polskich szkół społecznych, a następnie koordynatorem projektu koordynacji i pomocy polonistynom ukraińskim. Pandemia przerwała wszystko, a WiD zawiesił ze mną współpracę w nowej rzeczywistości wirtualnej i do dziś jej nie odnowił. Prowadzę także własną fundację, w ramach której pragnę kontynuować projekt pomocy polonistynom na Ukrainie – staram się o środki, na razie bezskutecznie. Bez środków lub w oparciu o inne podmioty udaje nam się zdalnie kontynuować kilka działań, prowadzę również stronę internetową polonistykinaukrainie.pl. W czasie pracy we Lwowie udało się we współpracy z polonistami lwowskimi stworzyć cykl

podręczników do JPJO nauczanego w szkołach ukraińskich w klasach V-XI jako drugi język obcy, podręczniki regionalne, poradniki metodyczne, dwie książki naukowe. Był to dla mnie okres niezwykle owocny. Z racji pracy w Centrum Metodycznym i projektów przejechałem Ukrainę wzdłuż i wszerz, poznałem liczne środowiska polskie i ukraińskie działające na rzecz Polski.

– Czy Pana zdaniem rządu niepodległej Ukrainy de facto sprzyjają ideologii UPA i OUN?

– Pamięć o OUN i UPA jest niewątpliwie obecna na Ukrainie, szczególnie na Zachodniej. Kolejne rządy na Ukrainie szukają sposobu na „sklejenie” z obywateli Ukrainy narodu. To jest żmudne poszukiwanie tożsamości. Warto jednak zauważyć, że postrzegają historię lat 40. i 50. XX w. jako zmagania z komunizmem i ZSRR. „Epizod wołyński” zdaje się być nieobecny, pamięć niewygodna, fakty negowane. Spotkałem się z poglądem, że prawda leży w ziemi i niech tam zostanie. Jeśli już dochodzi do rozmów, idą w kierunku relatywizowania: była wojna, straszne czasy, zbrodnie z obu stron, nie da się ludzkiej krzywdy zmierzyć liczbami ofiar, najlepiej tematu nie ruszać. Nie spotkałem się nigdy z odwołaniami do samej ideologii, jest to już temat zupełnie historyczny. We Lwowie, na przykład, jest ulica Bohaterów UPA. A więc odwołania do jasnej strony. Pomniki, tablice, marsze, manifestacje pod pomnikami, czerwono-czarne flagi – to wszystko jest obecne i musi się dziać za przyzwoleniem rządów i za inspiracją samorządów. To wszystko bardzo się nasiliło po aneksji Krymu i gdy rozpoczęła się wojna w Donbasie. Malowano płoty, przystanki, balustrady itd. w barwy flagi państwowej, ale też w barwy czarno-czerwone. Mnie osobiście najbardziej zszokowała figura Matki Boskiej z tymi flagami po bokach.

– Pamięta Pan w jakich okolicznościach były Prezydent Juszczenko ogłosił Stepana Bandere bohaterem Ukrainy?

– Stało się to – o ile dobrze sobie przypominam – na początku

2010 roku, podczas Dnia Jedności. Był to rok końca prezydentury Juszczenki, już po przegranych wyborach, w których zdobył 5,45% głosów. Tak więc decyzja ta nie była podyktowana wyborczą kalkulacją, wygląda na to, że zrobił to, bo chciał, zupełnie bezinteresownie. Co zresztą nie dało mu nic – w kolejnych wyborach parlamentarnych w 2012 roku jego blok zdobył 1% głosów. Znamienne są wypowiedzi wnuka Bandery (też Stepana, mieszka w Kanadzie, to on przyjął odznaczenie dziadka), który stwierdził, że dziadek walczył z państwem polskim, nie z Polakami. Nas to może szokować, ale gdy rozmawiamy o relacjach polsko-ukraińskich, powinniśmy próbować spojrzeć na zagadnienie z drugiej, ukraińskiej strony. Ukraińcy chcieli mieć swoje państwo, niepodległą Ukrainę, nie autonomię w ramach Polski, przewidzianą, o ile dobrze pamiętam na lata 40. XX w. Bandera, który to państwo ogłosił w 1941 roku, jest dla Ukraińców symbolem państwowości, zwłaszcza, że za ten akt stał się męczennikiem Niemców, a potem ofiarą ZSRR (zginął, jak wiemy, w Monachium w 1959 roku od kuli agenta KGB). Musimy też pamiętać, że Ukraińcy mają już swoje państwo i prowadzą własną politykę historyczną, tworzą własne narracje, niekoniecznie zgodne z tzw. obiektywną prawdą. W tych narracjach – np. w podręcznikach do historii – Bandera nie jest bohaterem antypolskim. Dla nas jest symbolem ideologii, która doprowadziła do Rzezi Wołyńskiej – dla Ukraińców nie. Jednak, jak pokazuje przykład Juszczenki, takie czy inne posunięcia nie prowadzą do sukcesów wyborczych. Nie ma bowiem jednolitej Ukrainy. Ukraina regionów: wschód, zachód, południe, centrum – każdy z tych regionów ma inny stosunek do historii Ukrainy, w tym do Bandery i historii najnowszej. W czasach ZSRR zachodni Ukraińcy to byli dla tych wschodnich „faszyści”. Wschodni przez 70 lat ZSRR zostali totalnie zmanipulowani i zindoktrynowani, centralni- złamani przez Wielki Głód. Władza centralna – każda – musi się do czegoś odwoływać, aby z tych regionów uczynić jedno państwo, a z jego mieszkańców naród. To nie jest tak, jak w Polsce: jedna wiara, jeden język i „3 x tak”. Różnorodność wyznaniowa (w jednej wsi cztery świątynie), język rosyjski na przeważającym

obszarze kraju, różny stosunek (lub brak stosunku) do historii. Bandera był próbą takiego bohatera dla wszystkich, jak Chmielnicki na przykład. Choć na Ukrainie Zachodniej bardzo to wzmocniło nacjonalizm. Pewnego razu jedna z moich studentek – Polka! – powiedziała, że może i Bandera tam coś złego dla Polaków zrobił, ale dla swego kraju chciał dobrze. Tak są uczeni w szkołach – dla Ukrainy chciał dobrze i tu opowieść się kończy. Powiem jednak raz jeszcze – nacjonalizm ukraiński jest antyrosyjski, nie antypolski. Warto o tym pamiętać, gdy protestujemy – słusznie – przeciw gloryfikacji OUN i UPA. Trzeba to robić mądrze.

– Czy można określić byłego prezydenta Ukrainy – Poroszenkę jako banderowca?

– Myślę, że prezydentura Poroszenki była tak nijaka, że również w sprawie Bandery nie było tu żadnego przełomu. To czas wojny z Rosją na wschodzie i problemów gospodarczych. Ustalił się pewien constans w sprawie. Wschód ma inne problemy, zachód Ukrainy czci, ale też niespecjalnie promuje tę cześć na resztę kraju. Poroszenko, o ile pamiętam, nie uczynił tu nic przełomowego. Pytanie – czy mógł? Wiadomo już, że Bandera nie będzie spoiwem całego narodu, a na Zachodzie będzie zawsze bohaterem.

– Czy wie Pan o tym, że aktualny Prezydent Ukrainy też popiera ideologię UPA i nie wyraził zgody na to, aby IPN prowadził prace ekshumacji szczątków doczesnych Polaków pomordowanych na Wołyniu przez UPA, OUN i SS Galizien?

– Nie wiem, czy popiera. Od pandemii nie jestem na Ukrainie, nie spotykam się z ludźmi. Myślę, że constans trwa i ani Zełenski, ani żaden następny prezydent już nic nie zmieni. Sprzeciw wobec ekshumacji wydaje się zrozumiały z ukraińskiego punktu widzenia: chodzi o pokazanie zdecydowania, pokazanie Ukraińcom, że można powiedzieć NIE, Polsce na przykład. I cała Ukraina tego chce – tej siły, a po drugie to, co powiedziałem: „niech prawda leży w ziemi”. Wschód nie chce tematu, zachód

nie chce prawdy. Ekshumacje pokazałyby zarówno ogrom liczby ofiar (której się zaprzecza), jak też bestialstwo oprawców (w co się nie wierzy lub uważa za wyolbrzymione). „Wydarzenia wołyńskie” to temat, który Ukraińcy chcieliby wyprzeć z pamięci i historii.

– Co Pan sądzi o polityce rządów RP po 1990 roku wobec Ukrainy?

– Polska była pierwszym krajem, który uznał niepodległość Ukrainy i starsi Ukraińcy to pamiętają. Nie wiem, czy uczy się tego w szkołach. Jesteśmy postrzegani jako kraj przyjazny, „orędownik” Ukrainy w Europie. To na pewno zasługa rządów – wszystkich po kolei. Jest oczywiście pytanie o koszty. Naiwne jest myślenie, że za cenę ciągłego dotowania, obdarowywania, można osiągnąć coś w zamian, np. w sprawie ekshumacji ofiar UPA. Ukraina to osobne państwo i stosunki z nim powinny być zbliżone do stosunków z innymi sąsiadami. W polityce nie ma sentymentów – są interesy. Naszym interesem jest, jak miemam, wspomaganie Polaków na Ukrainie, ochrona polskiego dziedzictwa kulturowego, utrzymanie dobrych stosunków z Ukrainą w celu wspólnej (ewentualnej) walki z Rosją (oby nie) i „posiadanie” choć jednego przyjaznego sąsiada. Nie można też stawiać jakichś żądań rodem z XVI wieku – Rzeczpospolita Jagiellońska to już historia, a koncepcje jakichś Trójmórz to kompletna utopia. My jako Polska naprawdę nic tam nie możemy, nie będziemy już w tym regionie potęgą dominującą i różne „prezenty” (jak ostatnio szczepionki, doposażanie szpitali, budowa dróg) nie mają sensu. I będzie tylko gorzej. Paradoksalnie chaos polityczny i gospodarczy panujący na Ukrainie nieprzerwanie od 1990 roku spowodował, że sporo tam robimy, aż dziwne, że ciągle na różne rzeczy Ukraińcy pozwalają. Na przykład w zakresie edukacji – istnieje cała sieć szkół społecznych (tzw. sobotnich), które są poza wszelką kontrolą państwa ukraińskiego. Możemy – o ile taka jest wola nauczycieli – wprowadzać dowolne treści i narracje, też historyczne. Oczywiście trzeba to robić z głową. Trzeba też

być gotowym na przejście tego szkolnictwa pod nadzór pedagogiczny – ale generalnie jesteśmy na to gotowi. To niezależne szkolnictwo to jednak już tylko margines. Dziś największa część Ukraińców uczy się polskiego w ramach szkoły przez pięć – sześć lat jako drugiego języka obcego. Przypadek sprawił, że w czasie, gdy pracowałem we Lwowie, ogłoszono konkurs na podręczniki do tego nauczania i znalazłem się w zespole autorów. Mogłem więc wprowadzać – zgodnie z założeniami metodyki kulturowej – treści promujące Polskę, polskie wartości, zachowania socjokulturowe, nawet elementy historii w ramach religioznawstwa. To musi być jednak pokazane – zgodnie z zasadami dydaktyki międzykulturowej – jako nasza wspólna historia, wspólna kultura. Zawsze z szacunkiem dla kultury – w uproszczeniu – ukraińskiej. Szukamy tego, co łączy z delikatnym i przyjaznym zaznaczeniem różnic. Czasami trzeba inaczej postawić akcenty, coś przemilczeć, żeby jakąś zasadniczą myśl czy prawdę. Tu jest duża szansa dla nauczycieli, żeby ukazywać w miejscu zamieszkania uczniów wspólną historię, bo przecież tak było: byliśmy razem do II wojny światowej. Nauczanie regionalne (i geografii...) generalnie na Ukrainie „leży”, więc duża szansa dla nas, dla lekcji języka polskiego, by podać pewne informacje z naszego punktu widzenia. O metodyce kulturowej mógłbym długo mówić, podam jeden przykład: uczymy się czytać, czytamy więc nazwy miejscowości. Możemy czytać polskie atlasy, a możemy zorganizować reprint przedwojennej mapy II RP i czytać, jak okoliczne miejscowości brzmiały i były zapisane po polsku. Jest różnica? W ogólnoukraińskim podręczniku nie da się zamieścić takiej mapy, ale jeśli mieliby ją nauczyciele? Czy jednak ktoś (MEN, Ośrodek Rozwoju Polskiej Edukacji za Granicą (ORPEG), Wspólnota Polska i inne podmioty odpowiadające za szkolenia nauczycieli) w ogóle szkoli nauczycieli w kierunku metodyki kulturowej? Obecnie mamy wysyp szkoleń online, proponowałem Wspólnocie Polskiej (ogromny ośrodek szkoleniowy w Ostródzie) – w odpowiedzi na ich ofertę – takie szkolenia, nawet nie otrzymałem odpowiedzi. Szkoliłem na Ukrainie podczas pracy we Lwowie, w Centrum Metodycznym i w ramach projektów,

powstało trzy wersje poradnika metodycznego – ale to trzeba kontynuować, tworzyć wciąż nowe pomoce, korzystać z kreatywności nauczycieli, tworzyć bazy pomocy. Projekty Kancelaria Prezesa Rady Ministrów (KPRM) odrzuca. Z podręcznikami serii Język polski zatknęły się już dziesiątki tysięcy uczniów, zawsze coś zostało. Ale właśnie: przypadek. Polskie rządy wspierały i wspierają szkolnictwo społeczne polskie (te tzw. szkoły sobotnie), ale wciąż nie wspierają szkół ukraińskich. Ogłoszono kolejne konkursy na podręczniki (co mniej więcej 10 lat trzeba je wymienić jako przestarzałe) i zamiast wspierać te z propolskimi treściami poprzez nową ich formę i aktualizację, przygotowano nowe. Są piękne, ale puste wychowawczo: podam jeden przykład – w podręczniku dla klasy V znanych Polaków reprezentuje Natalia Przybysz. O ile wiem, nie są one drukowane i dystrybuowane za darmo w ukraińskich szkołach. Zresztą naszej serii Język polski nigdy w Polsce nie doceniono, a – śmiem twierdzić – zrobiły więcej dla polskości na Ukrainie niż wiele projektów razem wziętych. Jest też, szczególnie ostatnimi laty wiele dobrych projektów promujących polskość i to polskość pozytywnie pokazaną, choć raczej polskość w Polsce, nie na Ukrainie. Aż nieraz żał, że nie biorę w tych projektach udziału, że nikt się nie zwraca z prośbą o opinię, konsultacje, bo z odrobiną korekcji można by było znacznie poprawić ich efektywność na rzecz kształcenia międzykulturowego, w kierunku wizji, modelu absolwenta. Pomoc dla oświaty jest od lat ogromna, ale często chaotyczna, a przeraża marnotrawstwo – np. olimpiada historyczna za ćwierć miliona! Przykładem pozytywnym może być kilkuletni projekt Biało-czerwone ABC..., który kompleksowo ujmował edukację polską na Ukrainie. Wiele konkursów, olimpiad, dyktand, kursów, szkoleń, ogólnie fajerwerki, a przecież edukacja to żmudna praca, rozłożona na lata. Trzeba przede wszystkim wspierać nauczycieli, budować sieć szkolnictwa w ukraińskich szkołach, doposażać pracownie, proponować odpowiednie treściowo podręczniki drukować je. To miękkie oddziaływanie może odnieść skutki. Póki Ukraińcy zechcą z takiej pomocy skorzystać, bo wcale nie muszą i wówczas nie będziemy mieli żadnego wpływu na

nic. Musi być wizja – dokąd zmierzamy. Marzy mi się wielka koordynacja działań, wspólnota instytucji – a jest ich sporo – w działaniu na rzecz wychowania absolwenta naszej ukraińskiej edukacji. Tak się złożyło, że wielu z nich przyjedzie do Polski, ale wielu zostanie. A więc z jednej strony przygotowujemy przyszłych imigrantów, obywateli, wyborców (!), z drugiej przychylnych nam obywateli Ukrainy, którzy będą – miejmy nadzieję – chcieli i umieli współpracować z Polską i Polakami na Ukrainie w duchu polskich i – szerzej – europejskich wartości. Tak więc edukacja nie może być wyjąłowana z treści, nie tylko gramatyka i ortografia, nawet nie tylko polskie rzeki i kilka historycznych dat, ale umiejętność zachowania się, umiejętność myślenia po polsku, budowanie polskiej mentalności. Nauczyciele z Polski uczący na Ukrainie, a jest ich sporo, też powinni wspierać takie działania i być do tego odpowiednio przygotowani. Błędem kolejnych rządów jest – moim zdaniem – opieranie pomocy na zasadach narodowościowych, przynajmniej w założeniach. To znaczy pomagamy Polakom (osobom polskiego pochodzenia, jakkolwiek to definiować), a niby „przy okazji” np. ukraińskim dzieciom w polskich szkołach, choć proporcje są tu inne. Tak skonstruowane są kryteria rozpatrywania projektów – jako działanie na rzecz środowiska polskiego, a powinny jako promocja polskości. Osób mających nawet „mgliste” polskie pochodzenie coraz mniej, a polskość może przetrwać na Ukrainie także (a może w niektórych regionach tylko) w środowiskach niepolskich. Przykładem są polonistyki ukraińskie, gdzie z założenia nie ma Polaków (Polacy studiują polonistykę w Polsce), a gdzie corocznie dzieje się ogromna praca na rzecz opracowania naukowego fenomenów polskości. Szczególnie cenne są prace o szeroko rozumianej polskości lokalnej: język, literatura, kultura w kontekście historycznym itd. Mam zaszczyt być autorem i koordynatorem programu koordynacji i wsparcia polonistyk ukraińskich od 7 lat, udało się bardzo dużo zrobić w zakresie np. bibliografii tych prac, wymiany myśli naukowej, stworzenia ogólnoukraińskiego zespołu młodych naukowców. Niestety, z niewiadomych dla mnie względów od 2020

roku państwo polskie zrezygnowało z dofinansowania tego programu i już drugi rok odmawia wsparcia tejże jakże ważnej inicjatywy. Niejasna jest dla mnie rola Instytutu Polskiego w Kijowie, wiele działań konsulatów uważam za chybione, ale też wiele jest niezwykle cennych dla podtrzymania i promocji polskiej kultury. Wspierane, a właściwie utrzymywane (za zbyt duże moim zdaniem pieniądze) są media, co z jednej strony jest pozytywne, z drugiej jednak – finansowane w całości – stają się tubą propagandową. Wspierane są wydarzenia naukowe, konferencje – ich grzechem jednak jest brak otwartości. O wspieraniu od lat tych samych podmiotów, osób, stowarzyszeń, prezesów, inicjatyw itd. nie chcę się wypowiadać, by kogoś nie urazić. Każda bowiem forma kultywowania polskości – od nauki języka po pieczenie ciastek – jest nie do przecenienia. Chciałoby się jednak więcej otwartości wszystkich na wszystkich, żeby nie było jakichś pozakulisowych pozakulisowych ustaleń, zamkniętych układów i układzików, złych tradycji itd.

– Czy na Ukrainie ma miejsce korupcja przy wydawaniu kart Polaka?

– Moim zdaniem bezpośrednio: nie. To znaczy żaden konsul nie przyjął łapówki, żeby potwierdzić „przynależność do narodu polskiego”. Nie znam takiego przypadku, nie słyszałem. Problemem jest sam dokument, który, moim zdaniem, nigdy nie powinien zaistnieć w takiej formie – jako potwierdzenie narodowości. Nie da się bowiem „zostać” Polakiem po odbyciu kursu językowego, nauczeniu się geografii czy historii. Ktoś, kto Polakiem jest, po prostu jest. Gdy kilkanaście lat temu Karta Polaka (KP) zaistniała, żyło jeszcze sporo starszych osób, których polskości nikt nie kwestionował. Te osoby – jak wiemy z historii – podejmowały bardzo różne decyzje, też przyjęcia paszportów sowieckich. Czy zrzekały się przez to obywatelstwa polskiego? Obywatelstwa państwa, które przestało istnieć? Kto miał oceniać ich decyzje po 1990 roku? Dlatego, uważam, wszyscy obywatele II RP, którzy tego chcieli, powinni

po 1990 roku dostać polskie paszporty i możliwość osiedlenia w Polsce (też mieszkańcy obwodu narodowościowego i innych polskich miejscowości za Zbruczem) – tego wymagała sprawiedliwość. Jednak tylko oni – nie ich potomkowie. Jakiś dokument być może był potrzebny właśnie dla tych potomków, np. przy rekrutacji na studia do Polski, ale techniczny, bez podbudowy emocjonalnej, owej „przynależności do narodu polskiego” (na lat 10...). Bez całych tych „egzaminów na Polaka” w konsulatach, kursów „na Kartę Polaka”, uroczystego wręczania itp. Brak jednolitych kryteriów oceny znajomości języka polskiego i kultury polskiej powoduje sytuacje patologiczne. Nie do przyjęcia etycznie jest też, moim zdaniem, uczenie się polskości w celu zdobycia Karty Polaka w celu jakiegoś interesu. Polskość zaś nie polega na „wykuciu” dopływów Wisły i opowiedzeniu łamaną polszczyzną o tradycjach wigilijnych. Poczucie „przynależności do narodu polskiego” ma swój nieuchwytny wymiar i nie może być potwierdzone egzaminem i dokumentem. Istnieją egzaminy językowe, można stworzyć (to moje drugie wielkie marzenie) egzaminy kulturowe dla wszystkich, w tym dla absolwentów wszelkich form edukacji polonistycznej na Ukrainie. Pozytywne zaliczenie tych egzaminów dawałoby Kartę Sympatyka Polski i Polaków (taka, powiedzmy, nazwa robocza) z przywilejami podobnymi do Karty Polaka. A przywileje ten dokument ma znaczne. Tak poważne decyzje (bo obecnie z Kartą Polaka wiąże się szybkie nadanie obywatelstwa polskiego, a więc i prawo wyborcze) powinny być przedmiotem debaty ogólnonarodowej. Takiej debaty nie było. Mamy więc, co mamy, sytuację patogenną. Np. o Kartę Polaka mogą się ubiegać obywatele II RP i ich potomkowie bez względu na deklarowaną narodowość, np. w spisie powszechnym. I tak – oficjalnie – w obwodzie łuckim wydano więcej Kart Polaka niż zadeklarowało narodowość polską obywateli Ukrainy w spisie powszechnym. Tego przywileju nie mają już Polacy mieszkający za Zbruczem – oni muszą udowadniać polskie pochodzenie za pomocą dokumentów, których często nie ma, za to które można „skombinować” i z tej możliwości – podobno – korzystają też nie-Polacy. To wszystko na zasadzie słyszano, mówiono, ktoś,

gdzieś. To rodzi złą atmosferę wokół tego dokumentu, a traci na tym prestiż Polski jako kraju uczciwego i praworządnego. Można uzyskać Kartę Polaka za działalność na rzecz polskości po kilku latach udokumentowanej działalności. Tu jest miejsce do patologii, bo jaki to problem, zapisać się do jakiegoś polskiego towarzystwa, zapłacić składki, „zadziałać” rok czy dwa, nauczyć się na „egzamin na Polaka” i „zostać Polakiem”, mając przy tym do Polski i Polaków stosunek, mówiąc delikatnie ambiwalentny. Słyszałem opowieści o takich przypadkach, o panu, który w wyszywance po wyjściu z cerkwi mówił: mam już Kartę Polaka, teraz oddawajcie Chełm. Z drugiej strony granicy zaś dokument ten nie wywierał większego wrażenia na Polakach. Słyszałem opowieści, jak to polska strażniczka graniczna mówiła, że tę Kartę można sobie do d... wsadzić. Temat karty porusza wiersz:

„Maleńki kartonik (...)
dla mnie właściwie
to bez znaczenia
bo jestem Polką
od urodzenia
to na granicy
i tam za Sanem
będę nadal udowadniać –
tu proszę przeczytać
tu napisane (...)
przezvisko – przeczka
w rodzinnym Lwowie
epitet Ruska
w polskim Rzeszowie”
(Alicja Romaniuk, Karta Polaka)

Byłem świadkiem wypowiedzi Polaka, że gdy ma się dwóch synów, nie trzeba udowadniać, że jest się ojcem i gdy się dowiedział, kto tę kartę otrzymał, to chciałby ją oddać. Ludzie się znają, wiedzą, kto jest kim, jaką ma przeszłość i co robi obecnie. Konsulów to nie interesuje. Jeszcze raz powtórzę: dokument,

którego nigdy nie powinno być. I jest bardzo niebezpieczny. Kilkadziesiąt tysięcy głosów w wyborach to np. wybór takiego czy innego prezydenta Polski, takiej lub innej opcji politycznej, układu w parlamencie, nie mówiąc już o samorządach np. we Wrocławiu. A przecież do tej liczby – nowych obywateli RP poprzez Kartę dochodzą jeszcze Ukraińcy nawet bez cienia polskiego pochodzenia, którzy zdobywają polskie obywatelstwo w inny, uproszczony sposób. Oni już nie muszą „udawać” nawet przez chwilę „przynależności do narodu polskiego” i będą – słusznie – domagać się swoich emigranckich praw. Myślę, że polityka rządu, aby sprowadzać miliony Ukraińców do Polski, jest bardzo krótkowzroczna. Przy okazji warto zauważyć, że marnuje się szansę na miękkie oddziaływanie na przyszłych imigrantów poprzez jakąś, jedną z możliwych, form edukacji jeszcze na Ukrainie lub przez powszechne, darmowe kursy kulturowo-językowe w Polsce. Chodzi tu znów o wspomniany już model absolwenta. Wielu bowiem przyszłych emigrantów przechodzi jakieś kursy na Ukrainie – mogą być one zupełnie komercyjne, a więc czysto językowe, wyjąłowane z wszelkich treści budujących u przyszłego emigranta poczucie związku z Polską i Polakami, a więc i poczucie odpowiedzialności za przyszły wspólny dom, a mogą te treści wychowawcze zawierać. Uważam, że mimo zmieniających się w Polsce opcji politycznych, światopoglądowych, a więc i aksjologicznych, można znaleźć wspólny mianownik elementarnych wartości, wokół których można – ucząc języka polskiego – zbudować narrację o Polsce i Polakach. Poprzez zaś spójny program wspierania nauczycieli polszczyzny na Ukrainie można ten program wprowadzać w życie. Za tym idą oczywiście darmowe podręczniki, programy komputerowe i aplikacje na smartfony – ja wiem, że to kosztuje, ale się opłaci w dalszej perspektywie. Jak już wspomniałem, jest sporo udanych propolskich projektów edukacyjnych, jednak za mało na poziomie dla dorosłych, tych, którzy przychodzą kilka, kilkanaście razy na jakiś kurs, np. w ramach przygotowań do „egzaminu na KP” i mamy te kilkadziesiąt godzin na wszystko – od alfabetu po poczucie odpowiedzialności. Da się – takie szybkie programy

inkulturacyjne przygotowuję od wielu lat, nie mając jednak afiliacji uniwersyteckiej w Polsce, nie mogę się z nimi przebić, są niezauważane w pracach glottodydaktycznych, a wnioski o dofinansowanie projektów są odrzucane. Podczas mojej pracy na Ukrainie jakieś ziarno zostało zasiane, ale nie wolno teraz tego zostawić. Wydaje się też słuszne rozszerzenie tego programu na inne kraje, w tym Białoruś, skąd możemy się spodziewać kolejnej fali imigrantów.

– Jak to jest, że wydaje się karty Polaka m.in. Ukraińcom wrogo nastawionym do Polski, którzy pracują na terenie RP, a potem uczestniczą na terenie Kijowa i Lwowa w tzw. marszach z pochodniami na cześć UPA, OUN i Stepana Bandery?

– Pytanie jest jasne, odpowiedź jednak nie jest taka prosta. Dochodzimy gdzieś do pytań filozoficznych o istotę człowieka w ogóle – ilu jest ludzi w człowieku. Jadąc kiedyś pociągiem z Przemyśla do Lwowa słyszałem taką wypowiedź obywatela Ukrainy: jak jestem w Polsce, mówię po polsku, jak tylko przejeżdżam granicę, przechodzę na ukraiński. I obserwowałem to wiele razy, co więcej, sam to u siebie zauważyłem. Ale to nie tylko język, to też sposób bycia, zachowania socjokulturowe, mentalność, wymagania od siebie i innych, nawet rodzaj kanapki na drogę – wszystko. Niektórzy uważają, że myśli się w języku, więc za zwykłą zmianą kodu idą konkretne zachowania aż po poczucie tożsamości narodowej. To nie do końca musi być tak, że w Polsce nacjonalizm ukraiński jest w sobie tłumiony, a po przekroczeniu granicy na samochodzie pojawi się od razu czerwono-czarna flaga. Nie znam żadnych badań na temat uczestnictwa pracujących w Polsce obywateli Ukrainy w nacjonalistycznych marszach na Ukrainie. Z mojego punktu widzenia (ale to mój punkt widzenia) pewne rzeczy są nie do pogodzenia: jeżeli jestem nacjonalistą ukraińskim, to nie wyjadę do Polski do pracy, bo to mnie, Ukraińca, poniża i pokazuje, że kraj, który kocham – Ukraina z tą tradycją OUN i UPA, którą czczę – jest tak niewydolny gospodarczo, że muszę z niego wyjechać i szukać zarobku zagranicą. Czy jednak każdy

podchodzi do życia w sposób refleksyjny? Po prostu jedzie, pracuje, wraca, uczestniczy w marszach z pochodniami i żadnej schizofrenii w tym nie widzi. Dwie myśli: pracujący w Polsce to nie tylko mieszkańcy zachodniej Ukrainy, ale sądząc po języku rosyjskim słyszonym na ulicach, w sklepach również wschodniej, od Kijowa, Winnicy, Chmielnickiego. Tam banderyzm nie jest ani punktem odniesienia, ani spontanicznie nie organizuje się marszy z pochodniami. Są dwie Ukrainy. Druga myśl: my nie mamy żadnego wpływu na to, co dzieje się na Ukrainie. Nie jesteśmy też w stanie kategoryzować imigrantów według poglądów politycznych. Można w jakiś sposób nie wydawać KP osobom jawnie aktywnym na rzecz pamięci o Banderze, OUN i UPA. Nie pozostaje nam nic innego, jak pogodzić się z tym, że tak jest i robić wszystko poprzez edukację już tam na Ukrainie i w Polsce – aby wkomponować tę oficjalną na Ukrainie narrację historyczną w pro-polski punkt widzenia. Antypolskie ruchy nacjonalistyczne na Ukrainie to zupełny margines. Pamiętam, jak po wybuchu Rewolucji Godności ktoś zablokował drogę do przejścia granicznego, zatrzymano polski autobus, natychmiast jednak ten spontaniczny odruch miejscowej ludności został „spacyfikowany” przez...nacjonalistów! Polska w tej walce z Rosją jest sojusznikiem. Niepokojące jest to, że taki spontaniczny odruch miał miejsce, że wciąż są jakieś antypolskie nastroje i to przy samej granicy. Sami Ukraińcy tłumaczą to (też niszczenie polskich nagrobków, pomników, a nawet strzał w okno konsulatu w Łucku z granatnika) prowokacjami rosyjskimi. Osobiście nigdy nie doświadczyłem jakichś przykrości ze strony Ukraińców, a wręcz przeciwnie, raz nawet uratowali mnie z bardzo trudnej sytuacji, gdy pomocy odmówili znajomi Polacy. Nawet z policją jakoś się dogadywałem. A złodzieje, oszuści itd. trafiają się wszędzie i nie ma to raczej podłoża narodowościowego. Mam mnóstwo przyjaciół polonistów Ukraińców. I chyba każdy Polak tak tego doświadcza. I racjonalnie rzecz ujmując, nie wiem, dlaczego głębszy oddech biorę zawsze dopiero po polskiej stronie granicy...

– Czy nacjonałiści ukraińscy, którzy stawiają pomniki takim ludobójcom jak Szuchewycz i Bandera doceniają pomoc Rządu RP dla niepodległej Ukrainy?

– Osobiście nie znam żadnego „nacjonalisty ukraińskiego”. Warto sięgnąć do fantastycznych felietonów Ewy Mańkowskiej (polskiej nauczycielki, działaczki społecznej mieszkającej w Równem), która w jednym z nich opowiada, jak to koniecznie chcieli w tym Równem doprowadzić do spotkania „Laszki” z miejscowym nacjonalistą. Do spotkania w końcu doszło i pani Ewa pisze, że spotkanie było bardzo sympatyczne i zupełnie nie antypolskie. Pamiętam też wzmiankę gdzieś (niestety, nie pamiętam gdzie) o spotkaniu nacjonalistów polskich i ukraińskich na Cmentarzu Orląt Lwowskich i potem razem na Cmentarzu Strzelców Siczowych, który – jak wiadomo – znajduje się obok. Pisano wtedy o internacjonalizmie nacjonalizmów. Ja wiem, że to może boleć, szczególnie potomków ofiar na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, ja wiem, że to jakoś jest logicznie nie do pogodzenia z powinnością wobec tych ofiar, ale czy jest inna droga? Musimy uszanować ukraiński punkt widzenia – nie ma innego wyjścia. To znaczy jest – stracić mniej więcej przychylnie nastawionego nam sąsiada. Natomiast pomoc powinna być udzielana warunkowo, na normalnych zasadach np. pożyczek, wspólnych projektów itd. Wszelkie darowanie jest nie do pogodzenia z godnością Ukraińców, a szczególnie nacjonalistów. Takiej pomocy, jak mniemam, nie chcą, więc nie mogą być wdzięczni i doceniać. Nie znam skali tej pomocy, o której się mówi – jest ona, jak sądzę, wielotorowa: od „orędownictwa” w Europie, przez jakąś pomoc finansową, po wsparcie miejscowych szpitali (jak ostatnio w Mościskach). Są jakieś zakulisowe zapewne porozumienia, w ramach których na intratne stanowiska wysyłani byli potem z Polski byli politycy. A w skali mikro ktoś wysyła czasami są to – przepraszam – całe stosy makulatury, bo i tak się zdarzało, sam w takim stosie przysłanym na Uniwersytet Lwowski wygrzebałem starą książkę do... miernictwa elektrycznego i z sympatii (bom elektryk po technikum) uratowałem ją od przemiału, a potem miałem problem

na granicy, bo była za stara. Sam woziłem do Użgorodu paczki na Mikołaja i nawet... jogurty (były jogurtowe andrzejki...), bo akurat sanocka mleczarnia nam podarowała. Pomoc charytatywna była ogromna, jest mniejsza. Czy takie wywożenie, przepraszam, śmieci (ja wiem, że z dobrego serca) nie naruszało godności Ukraińców? Zwłaszcza, że często razem z bussem tychże darów jechali przedstawiciele jakichś fundacji i stowarzyszeń i byli przyjmowani przez miejscowe władze w sypiących się miejscowych urzędach. I co miały te władze powiedzieć? Dziękujemy, bardzo potrzebne są nam stare ubrania ze szmateksu? To, że Ukraina miała (i ma) złe drogi, że nie mogli (i nie mogą) się pozbierać, jakoś zorganizować, „ogarnąć”, że są naiwni politycznie (co pokazuje przykład ostatnich wyborów prezydenckich), że oligarchowie, korupcja, bałagan, beznadzieja – to nie znaczy, że można naruszać czyjąś godność, a póki co o tę godność dbają nacjonałiści (tylko?) ukraińscy. Są oni i ich działania jakimś odreagowaniem na poniżenie, w jakim od lat żyją przeciętni Ukraińcy. Jak bowiem racjonalnie ująć, jakoś sobie w głowie poukładać wojnę z Rosją i jednocześnie pracę? A związki Ukrainy z Rosją są ogromne. Po wybuchu wojny w Donbasie byłem w jednym z miast na wschodzie: wszędzie pełno antyrosyjskich haseł, napisów, symboliki ukraińskiej... po rosyjsku, a za chwilę odjeżdżał pociąg do Rosji, pełen Ukraińców jadących do pracy i do rodzin. Boli mnie to, że ciągle ktoś próbuje na pomocy humanitarnej zrobić jakieś interesy, że trwają jakieś absurdalne zbiórki, np. kredek, książek, żywności dla „kombatantów” (jakich???). Że to wszystko z wielką pompą, że oczekuje się wdzięczności. Że manipuluje się opinią publiczną w Polsce, pokazując wciąż jakąś babcię jako przykład biednej Polki, która umiera z głodu, że mówi się o biednych polskich dzieciach żyjących w ruderach – to wszystko fikcja. Że wiele projektów jest hojnie finansowanych przez KPRM, a trafiają wciąż do tej samej grupy odbiorców, są podwójnie finansowane (zgłaszałem problem do NIK, nie chce się tym zająć). A potem zdziwienie, że jakiś bus przed Wigilią nie został wpuszczony na teren Ukrainy, a wiózł przecież niezbędne kredki. Przepraszam za ironię, ale

napatrzyłem się przez 20 lat na wiele form obecności Polaków z Polski na Ukrainie i nieraz było mi wstyd. Uszanować czyjąś godność – to bardzo ważne i bardzo trudne na Ukrainie. Traktować jak partnera, nie jak żebraka, który o pomoc zresztą nie prosi. Nie traktować Ukrainy, jako kraju specjalnej troski, któremu trzeba doradzać, jak ma się urządzić. Takie zachowania wzbudzą w końcu nacjonalistyczne reakcje również przeciw Polsce.

– Jako Polak jak pan się czuł na Ukrainie i czy Ukraińcy okazywali Panu jakąkolwiek wdzięczność za to, że Polska była pierwszym państwem, które uznało niepodległość Ukrainy i bez przerwy pomaga naszemu sąsiadowi finansowo?

– Oczywiście mając za sobą „plecy” przyjaznego państwa polskiego czułem się pewniej, można było na tej strunie zagrać np. przy rozmowie z policją drogową. Na granicach tego nie odczuwałem, z urzędami nie miałem kontaktu. Na uniwersytetach było przyjaźnie chyba bez względu na to. Wśród Polaków nie miało to znaczenia. Myślę, że przeciętny Ukrainiec o tym nie myśli, że Polska 30 lat temu uznała jako pierwsza niepodległość. Pewne wydarzenia są już bardzo odległą historią i nie można się bez końca do tego odwoływać. Dla współczesnych pokoleń młodych Ukraińców Ukraina jest tak oczywista jak Polska dla Polaków i w ogóle nie rozumieją, jak można ją uznać czy nie uznać. O pomocy nikt nic nie wie, bo jej nie widać ani na wsi pod Samborem, ani w Kijowie. Czy ktoś prosi o pomoc? W mediach ukraińskich nie słyszałem o polskiej pomocy. Na projekty pomocowe z sensem, które byłyby współpracą, a nie jałmużną, rząd RP jest głuchy. Projekty oceniają jacyś eksperci, którzy mają kryteria i nie widzą całości. Wyjątkowy był rok 2020 – bez ekspertów – i tę szansę zmarnowano. Bo np. sieć szkolnych sal do języka polskiego więcej znaczy „propagandowo” niż jakaś pomoc dla kolei ukraińskich, założymy. Za stare książki i schodzone buty zaś nikt wdzięczny nie będzie, sorry. Oczywiście podczas oficjalnych spotkań pada jak mantra hasło o wdzięczności za poparcie i pomoc, ale potem

przekłada się to na współpracę o tyle, o ile będzie to wspólny interes dla obu stron na poziomie np. uniwersytetu czy szkoły.

– Czy istnieje w narodzie ukraińskim swoisty dualizm postaw, polegający na tym, że z jednej strony nie uznaje się tam wymordowanie przez UPA, OUN i SS-Galizien setek tysięcy Polaków jako zbrodni wojennej, ale Ukraińcy chętnie korzystają z naszej pomocy finansowej i masowo starają się o zdobycie Karty Polaka?

– Właściwie na to pytanie już odpowiedziałem w pytaniach poprzednich. Ten, jak Pan pyta, dualizm postaw nie wynika ze „schizofrenii”, może w pojedynczych wypadkach, ale z braku spójności naszej polityki. Ta pomoc nie jest uwarunkowana np. zgodą na ekshumacje, jest kierowana gdzie indziej, np. do budżetu centralnego, natomiast akcje nacjonalistyczne są na poziomie lokalnym. Ja naprawdę nie wiem, jak to wygląda statystycznie – np. ilu aktywnych nacjonalistów otrzymało KP, czy komukolwiek odmówiono, bo jest aktywistą nacjonalistycznym, czy komukolwiek z tego powodu odmówiono np. wizy. Warto zwrócić się z tymi pytaniami do konsulatów we Lwowie czy w Łucku. Czy ktokolwiek to weryfikuje? Jak już wspominałem, jest w człowieku jakaś taka przekładnia, jakaś „wajha”, która pozwala na taki dualizm bez popadnięcia w schizofrenię, choć, jak uważał Kempieński, wszyscy jesteśmy chorzy, kwestia stopnia. Nas Polaków też to dotyczy, a ujawnia się w wyborach na przykład czy w stosunku do Kościoła. Pytanie zasadnicze – co my Polacy, polskie władze mają z fenomenem nacjonalizmu ukraińskiego zrobić, jak wykorzystać ten „wiatr” do skorygowania kursu naszej żagłówki. Nie można obrażać się na pogodę, ani nie da się zmienić wiatru żadną pomocą finansową, trzeba to wykorzystać, nie zapominając oczywiście o Prawdzie. Trzeba naszą Prawdę (bo są, niestety, dwa punkty widzenia) promować, ale przede wszystkim tu, w Polsce, bo tu mamy do tego prawo i obowiązek wobec ofiar. I możemy tu uznanie tej prawdy jakoś egzekwować, nie tam. Na Ukrainie pozostaje tylko miękkie oddziaływanie poprzez edukację, póki

można.

– Czy uważa Pan, że pozostające na Ukrainie polskie dzieła sztuki zrabowane przez III Rzeszę i ZSRR powinny wrócić do muzeów polskich?

– Nie znam dokładnie skali zjawiska. Mam nadzieję, że istnieje jasna definicja „polskiego” dzieła sztuki, jest jakaś lista, gdzie one się znajdują itd. Rozumiem, że chodzi w tym pytaniu o problem, czy jeżeli dane dzieło sztuki znajdowało się na terenie II RP, powinno tam wrócić, np. do muzeum we Lwowie czy do Polski w obecnych granicach. Na pewno nie powinno zostać w Rosji ani w Niemczech. Nie znam stanu prawnego umów między Polską a Ukrainą w tej kwestii, na pewnym etapie powinniśmy działać razem. Myślę, że nie da się wszystkiego przewieźć z Ukrainy, szczególnie zamków, pałaców, parków itd. Jak o to dbać? Może można wykupić, co się da, tworzyć tam centra polskie, np. szkoły, filie Instytutu Polskiego. Może jakieś hybrydy z inicjatywą prywatną, hotele na przykład. Ja wiem, że to może być okazja do nadużyć i zwykłego oszustwa (mimo świetnych umów), ale remont stanie się faktem i dany zabytek zostanie uratowany. Tworzenie szlaków turystycznych, wspólnych – sam w czasie swojego życia zawodowego wiele z takich inicjatyw podejmowałem.

– Co Pan chciałby dodać w kwestiach, o które nie zapytałem?

– Jest wiele problemów do rozwiązania od razu, tu, w Polsce, brakuje tylko woli. Na przykład regulamin wysyłania nauczycieli z Polski na Ukrainę, który eliminuje przygotowanych do tej misji absolwentów i byłych nauczycieli ze Wschodu, problem przekraczania granicy polskiej przez polskich obywateli, ich dyskryminacja po polskiej stronie, temat pracy konsulatów. Jest kilka idei, o których przynajmniej warto rozmawiać, np. sieć szkolnictwa polskiego, egzaminy na zakończenie szkół, wspólne świadectwa. Marzy mi się taki czas, kiedy każdy, kto ma doświadczenie i wiedzę na dany temat, będzie mógł należeć do grona doradców prezydenta

czy rządu i będzie mógł wypowiedzieć się w danych kwestiach. Marzy mi się, żeby polskie władze były otwarte na sugestie, żeby doświadczenie takich osób nie było marnowane, a dorobek poprzedników był dostrzeżony i wykorzystany.

– Dziękuję za propozycję tej rozmowy, serdecznie pozdrawiam wszystkich zaangażowanych w promocję Polski na Ukrainie, szczególnie Nauczycieli języka polskiego i kultury polskiej.

Z Jerzym Kowalewskim rozmawiał Rajmund Pollak

Źródło: ProKapitalizm.pl